

Nieustanna walka

Z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu, którą świętowaliśmy pięć lat temu, postanowiliśmy sprezentować sobie wyjazd do Umbrii. Już na pół roku wcześniej zarezerwowaliśmy apartament znajdujący się na parterze kamiennego domu otoczonego gajem oliwnym, z widokiem na jezioro Trasimeno. Dodatkowym atutem tego miejsca był fakt, że jego właścicielami było małżeństwo brytyjsko-włoskie. Angielskie pochodzenie jednego z właścicieli zakładało spore ułatwienie w komunikacji, ponieważ — jak pokazały nasze wcześniejsze doświadczenia z podróży po Włoszech — w tym pięknym kraju nie wszyscy mówią po angielsku. Choć nasz ślub był w zimie, z rocznicowym prezentem poczekałszyśmy do lata. Na kilka dni przed wyjazdem w samochodzie zepsuło się pokrętko klimatyzacji. Jako że samochód był na gwarancji, od razu pojechałam do serwisu, zaznaczając, że

niebawem wyruszamy w daleką podróż i że byłoby dobrze, gdyby usterka została szybko i sprawnie naprawiona. Obsługa okazała zrozumienie i obiecała jak najszybciej naprawić co trzeba. Po pierwszej naprawie nie zdążyłam dojechać do domu, a pokrętko znowu się zablokowało, uniemożliwiając korzystanie z klimatyzacji. Wróciłam do warsztatu i jeszcze raz grzecznie, aczkolwiek stanowczo, wyjaśniłam, że wybieramy się w długą podróż na południe Europy i że bardzo proszę o skuteczne usunięcie usterki. Dodałam, że jest to wyjazd dla uczczenia srebrnego wesela. Chyba liczyłam na to, że ktoś się z tego powodu bardziej przejmie naszą sytuacją. Ostatecznie pokrętko było naprawiane siedem razy. Przy ostatniej naprawie, w wieczór poprzedzający wyjazd, sam kierownik serwisu zapewniał mnie, z ręką na sercu, że możemy spokojnie ruszać w drogę.

Wyjechaliśmy o świcie następnego dnia. Nie dojechaliśmy nawet do czeskiej granicy, kiedy pokrętko, choć dotykane nadzwyczaj delikatnie, zepsuło się ponownie. Ponieważ mieliśmy przed sobą jeszcze tysiąc trzysta kilometrów, postanowiliśmy nie wracać, ale jak za dawnych lat ratować się otwieraniem okien i na miejscu spróbować poszukać pomocy. Staraliśmy się zachować spokój i nie pozwolić, aby taka niedogodność popsuła nam humory. Próbowaliśmy z tego żartować, ale im dalej przemieszczaliśmy się na południe, tym bardziej podróż stawała się uciążliwa. Tamto lato było wyjątkowo upalne. Nie poddaliśmy się jednak i około dwudziestej pierwszej, pełni radości oraz wdzięczności, szczęśliwie dotarliśmy na miejsce. Gospodarze już nas wypatrywali i czekali na nas z kolacją w ogrodzie. Dosłownie po kwadransie od przywitania się z nimi mieliśmy wrażenie, że od-

wiedzieliśmy starych znajomych. To zdecydowanie podniosło nas na duchu i szybko zapomnieliśmy o trudach podróży. Postanowiliśmy, że następnego dnia odwiedzimy autoryzowany serwis (może lepiej nie wspomnę, jakiej marki).

Jak się okazało, najbliższy znajdował się w Arezzo, miejscowości oddalonej od miejsca naszego pobytu o sześćdziesiąt kilometrów. Niestety, zdołaliśmy przejechać zaledwie niecałe dwadzieścia kilometrów i samochód stanął. Zepsuta klimatyzacja zeszła na dalszy plan. Na szczęście utknęliśmy obok stacji benzynowej, więc mieliśmy dostęp do cienia, wody i toalety. Pozostało nam skorzystać z pomocy Assistance. Choć z obsługą infolinii rozmawialiśmy po polsku, porozumienie się nie było takie proste. Kiedy w końcu udało się ustalić rodzaj pomocy, jakiej potrzebujemy, oraz miejsce, w którym się znajdujemy, zostaliśmy zapewnieni o tym, że wkrótce przyjedzie po nas laweta. Nie wiem, ile dokładnie to trwało, ale sporo czasu spędziliśmy, siedząc na krawężniku w cieniu i obserwując, jak to lubimy wspólnie robić, mijających nas ludzi. Kiedy w końcu podjechała laweta, okazało się, że kierowcy nie wolno niczego naprawiać i że on ma za zadanie zawieźć nas do stacji obsługi. Zapomniałam dodać, że poza zwrotem „me no touch”, co można by przetłumaczyć jako „ja nic nie dotykać”, niewiele więcej po angielsku umiał powiedzieć. Mężczyzna wciągnął samochód na lawetę, nas zaprosił do szoferki i z nieco szalonym spojrzeniem, zagryzając wystający z ust język, pognął w kierunku Arezzo.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, oboje z mężem podziękowaliśmy Bogu za to, że przeżyliśmy tę podróż. Nasz przewoźnik zniknął na chwilę, a gdy wrócił, oznajmił, że

w serwisie trwa sjest a i musimy czekać półtorej godziny. Przyjeliśmy tę informację spokojnie, wciąż starając się znajdować pozytywy i za każdą pokonaną trudność dziękować. W końcu byliśmy już o krok od rozwiązania naszego problemu, co miało nam umożliwić rozpoczęcie naszego od dawna planowanego urlopu. Tak nam się przynajmniej wydawało. Kiedy serwis wznowił pracę po przerwie, szybko zabrano się za ocenienie tego, co zepsuło się w naszym aucie. I chociaż personel nie mówił żadnym innym językiem poza włoskim, udało się ustalić trochę na migi, trochę z pomocą międzynarodowych słów, że samochód trzeba będzie zostawić co najmniej na dwa dni. Jedyne co było wtedy w stanie nas pocieszyć, to zapewnienie w umowie Assistance, że w takiej sytuacji należy nam się samochód zastępczy. Znow więc nawiązaliśmy kontakt z polską infolinią, na której pani najpierw nas zapewniła, że rozpoczyna procedurę organizowania takiego samochodu, a po trzech godzinach czekania stwierdziła, że w okolicy przez najbliższą dobę nie będzie żadnych wolnych pojazdów. Myślałam, że źle usłyszałam. Niestety, okazało się, że jedyne, co może nam pani proponować, to zorganizowanie noclegu w hotelu lub podróży samolotem do kraju. Wyjaśniliśmy uprzejmie, ale już nie do końca spokojnie, że apartament, w którym mamy bagaż, oddalony jest o kilkadziesiąt kilometrów. Jedyne rady, jaką otrzymaliśmy, była taka, że możemy na własną rękę coś spróbować zdziałać. Dodam tylko, że stacja obsługi znajdowała się na peryferiach miasta, z dala od środków komunikacji miejskiej.

Tymczasem zegar wskazał godzinę osiemnastą, a kierowniczka salonu poinformowała nas, że kończą pracę. Spojrze-

liśmy na nią błagalnym wzrokiem i zapytaliśmy, co mamy robić. Nie dość, że mówiła płynnie po angielsku, to po chwili zastanowienia podeszła do używanego samochodu, który był wystawiony na sprzedaż, zdjęła kartkę z informacjami technicznymi, wręczyła nam kluczyki i dowód rejestracyjny, dała do podpisania dokument wynajmu, zapewniając, że sami rozliczą się z Assistance, i życzyła szerokiej drogi. Podziękowaliśmy jej i Bogu za to, że postawił na naszej drodze tego anioła i ruszyliśmy w drogę powrotną. I tak upłynął drugi dzień naszego wymarzonego urlopu.

Dzień trzeci i czwarty udało nam się przeżyć tak jak zaplanowaliśmy — podróżując po Umbrii i Toskanii, zwiedzając wspaniałe klasztory w Monte Oliveto Maggiore oraz Sant'Antimo i zatrzymując się w uroczych małych miasteczkach, żeby nacieszyć się ich niespieszną atmosferą i miejscowymi smakołykami. Część dnia piątego musiała zostać poświęcona na kolejną wizytę w Arezzo i choć przewodniki zachęcają, aby koniecznie zajrzeć do tego historycznego miejsca, będącego niegdyś miastem-państwem etruskim, nie mieliśmy ochoty spędzić tam ani chwili dłużej, niż było to konieczne. Dzień szósty i siódmy upłynął nam bez większych problemów — z wyjątkiem awarii kotła z ciepłą wodą, co oznaczało, że mycie było jednocześnie niemal zabiegiem krioterapii.

Ósmego dnia rano mój mąż obudził się i stwierdził, że coś go w nocy ukąsiło, bo w różnych miejscach swędzi go skóra. Dziwne jednak było to, że ślady ukąszenia były zupełnie niewidoczne. Przynajmniej na początku. Jako że nie ma w zwyczaju roztkliwiać się nad sobą, stwierdził, że dalej realizujemy nasz wakacyjny program i jedziemy

do Asyżu. Widziałam jednak, że swędzenie staje się coraz bardziej uciążliwe. Nasz rocznicowy urlop powoli dobiegał końca. Dziewiątego dnia rano, po nieprzespanej nocy, wiedzieliśmy, że musimy coś z tym zrobić. W aptece, po opisaniu symptomów, zaproponowano nam standardowe środki na ukąszenia i wapno. Następnego dnia mieliśmy ruszyć w podróż powrotną. Planowaliśmy wyjechać około szóstej. O godzinie trzeciej w nocy mąż obudził się, trzęsąc się i prosząc, abyśmy już się zbierali, bo nie da rady dłużej leżeć. Wtedy miałam już pewność, że musimy jak najszybciej kupić po drodze leki przeciwalergiczne. Pierwszą otwartą aptekę napotkaliśmy dopiero na terenie Austrii, ale udało się zakupić odpowiednie lekarstwa i w końcu po trzech dniach mąż odczuł ulgę. Na sto kilometrów przed Wiedniem przyznał, że nie jest w stanie już dłużej prowadzić samochodu. Musiał czuć się bardzo źle, bo nigdy dotąd nie chciał się zmieniać podczas podróży. Kiedy tylko przesiadł się na miejsce pasażera, zasnął. Wieczorem, dojeżdżając do domu, skonsultowaliśmy z lekarzem jego stan przez telefon i dowiedzieliśmy się, co dalej robić. Następnego dnia na oddziale dermatologicznym została postawiona diagnoza: liczne ukąszenia przez insekty, prawdopodobnie małe skorpiony, z zakażeniem. Dolegliwości i leczenie trwały jeszcze przez ponad dwa tygodnie.

Podobne historie o tym, jak życie niejednokrotnie zmienia nasze plany i wystawia na próbę nas samych oraz nasz związek, mogłabym mnożyć. Wybrałam taką lżejszego kalibru, aby podkreślić, że nawet pozornie nie aż tak bardzo bolesne trudności bywają nie lada wyzwaniem. Niekiedy zdarza się jednak, że trzeba umieć się odnaleźć

w sytuacji nagromadzenia się w jednym czasie poważnych problemów zdrowotnych, zawodowych oraz związanych z trudnymi relacjami z innymi osobami. To, jak sobie wtedy poradzimy, w dużej mierze zależy będzie od tego, jak wcześniej postępowaliśmy w mniej dramatycznych okolicznościach. Im szybciej uświadomimy sobie, że „życie nie jest takie, jakie mogłoby być, ale takie, jakie jest”, tym łatwiej poradzimy sobie w nieprzewidzianych okolicznościach. Zdanie to usłyszałam kiedyś od pewnego benedyktyńskiego mnicha i od tamtego czasu często je sobie przypominam, zwłaszcza w chwilach trudności i niespodziewanych problemów. Jeśli nie zaakceptujemy tej prawdy, możemy się w życiu spodziewać wielu rozczarowań i ogromnej frustracji.

Myślę, że nie uznaliśmy naszego wyjazdu do Włoch za nieudany tylko dlatego, że po dwudziestu pięciu latach wspólnego życia byliśmy już w tej trudnej sztuce walki z przeciwnościami nieco zaprawieni. Pojawiającym się kłopotom staraliśmy się stawiać czoła najlepiej, jak potrafiliśmy — z całą dostępną w sobie siłą i cierpliwością — pozostawiając to, na co nie mieliśmy wpływu, Bogu, ufając, że On będzie nam we wszystkim towarzyszył i wskaże najlepsze wyjścia. A On nigdy nie zawodzi! Tym, którzy Go proszą, podsuwa rozwiązania, stawia na drodze „aniołów”, którzy służą konkretną pomocą, a przede wszystkim napełniają pokojem. Trzeba mieć świadomość, że przeciwności w życiu są raczej zasadą, a nie wyjątkiem, i pośród trudności nadal starać się dostrzegać błogosławieństwa oraz nie dać sobie odebrać radości z tego, z czego można nadal się cieszyć. Nie chodzi oczywiście o to, że mamy się cieszyć, kiedy po-

jawiają się kłopoty, ale jak wyjaśnia ojciec Michael Scanlan TOR²⁶: „możemy w skrytości ducha radować się szansą, którą dostajemy dla wzmocnienia naszej wiary i kształtowania chrześcijańskiego charakteru”²⁷. Nie ma sytuacji neutralnych czy nieistotnych w naszym życiu. Chodzi przede wszystkim o to, aby umieć w tym, co przeżywamy, odpowiedzieć sobie na pytanie, czego mamy się w danej sytuacji nauczyć, co zrozumieć, w czym wzmocnić. I choć „Bóg nie jest autorem zła”²⁸, bo „zło i nieszczęścia tego świata są owocami wolnych ludzkich wyborów, dokonywanych w świecie skażonym grzechem pierworodnym”²⁹, wykorzystuje trudne sytuacje, aby wydobywać z nich dobro.

Musimy mieć świadomość, że życie małżeńskie to nieustanna walka rozgrywająca się na kilku poziomach. Po pierwsze, sami dla siebie jesteście wyzwaniem — z naszymi słabościami, ograniczeniami oraz egoizmem wciąż musimy siebie przekraczać, staczać walkę ze sobą i siebie pokonywać. To proces, który trwa całe życie. Po drugie, jako że małżeństwo łączy ze sobą dwie słabe, grzeszne istoty, nieustannie dochodzi do ścierania się małżonków, lepiej lub gorzej radzących sobie z samymi sobą i z życiem. Trzecim obszarem walki jest zewnętrzny świat, w którym Zły działa

²⁶ Michael Scanlan TOR (1931–2017) — amerykański ksiądz katolicki należący do III Zakonu Franciszkańskiego, przez wiele lat był dyrektorem Franciszkańskiego Uniwersytetu w Steubenville w Ohio, prowadził posługę uzdrawiania.

²⁷ Michael Scanlan TOR, *Porady na trudne dni — jak trudny czas może zbliżyć nas do Boga*, przeł. Monika Walendowska, Bauer-Weltbild Media Sp. z o.o., Warszawa 2007, s. 17.

²⁸ Tamże, s. 17.

²⁹ Tamże.

i robi wszystko, aby zniszczyć naszą jedność i oddzielić nas od siebie. Ojciec Scanlan wyjaśnia:

Wiele kłopotów w naszym życiu to nic innego jak kolejna batalia w duchowej wojnie. Mamy jednak broń, która pozwala nam odnieść sukces. Należy do niej zwykła świadomość, że powodem wielu strapień nie jesteśmy ani my, ani Bóg czy jakiś zbieg okoliczności, ale nasz wróg³⁰.

A ten wróg — czyli diabeł — nienawidzi małżeństwa i pragnie niszczyć więzi między małżonkami głównie dlatego, że człowiek może być współpracownikiem Boga w dziele stworzenia, oraz ze względu na to, że małżonkowie, zawierając sakrament małżeństwa, „stają się widzialnym znakiem tego, że może istnieć święta i dająca świętość miłość pomiędzy ludźmi”³¹.

Czy jesteśmy zatem na pozycji straconej? W żadnym wypadku. Trzeba po prostu poznać wroga oraz jego strategię i stanąć do walki ze świadomością, że nie jesteśmy pozostawieni sami sobie, gdyż Bóg daje nam do dyspozycji wszelką potrzebną broń, abyśmy byli w stanie odpierać ataki. Warunkiem jest jednak wierne trwanie przy Nim — z ufnością i wdzięcznością. To wymaga od nas wielkiej czujności i determinacji. Nasz przeciwnik jest bardzo inteligentny i przebiegły. Zawsze będzie szukał szczelin w naszym związku, które dadzą mu do nas dostęp, przez co będzie mógł

³⁰ Tamże, s. 13.

³¹ Karol Meissner OSB, Elżbieta i Jacek Kopoczowie, *Małżeństwo nie musi boleć — jak budować więzi między małżonkami*, Wyd. WAM, Kraków 2012, s. 61.

mamić nas kłamstwami i pokusami, usiłując odciągnąć nas od prawdy i miłości, od Boga. Trzeba pamiętać, że każdy grzech, którego się dopuszczamy, powoduje, że stajemy się coraz bardziej ślepi i głusi, a nasz umysł zaciemniony, niezdolny do obiektywnej oceny, a co za tym idzie — bardziej skłonny do uwierzenia w łgarstwa Złego.

Co można zatem robić, aby chronić swoje małżeństwo? Naszą największą siłą jest jedność. Każdego dnia musimy o nią dbać poprzez pielęgnowanie absolutnej szczerości i uczciwości w stosunku do siebie samych i siebie nawzajem. Po prostu żyć w prawdzie. Niczego nie ukrywać przed sobą, unikać podejrzliwości i umieć przebaczać. Nie zamykać się ze swoimi niepokojami, lękami czy obawami. Kiedy coś nas męczy, powinniśmy wyczuć najlepszy moment i poprosić współmałżonka, aby z cierpliwością i wyrozumiałością wysłuchał nas, nawet jeśli miałyby to być dla obu stron trudne. W przeciwnym razie nawet drobne problemy mogą z czasem zamienić się w ogromną kulę śniegową, która rozpędziwszy się, rozbija się w końcu, dokonując znacznie więcej szkód, niż pierwotna trudność ze sobą niosła. Takie sytuacje z kolei napędzają poczucie winy, sprawiają, że wszelkie zachowania współmałżonka traktujemy bardzo osobiście, oraz tworzą kolejne obszary, w których stajemy się bardziej podatni na konflikty. Naprawdę sprawdza się tu biblijna zasada: „Niech wasza mowa będzie: tak, tak; nie, nie, a wszystko ponad to — pochodzi od Złego” (Mt 5,37).

Trzeba także pamiętać, że związek małżeński jest jak roślina: pielęgnowana — rozwija się, zaniedbywana — obumiera. Jeśli chcemy pogłębiać więź ze współmałżonkiem, musimy poświęcać temu czas, wkładać w to wysiłek i umieć

także rezygnować z różnych rzeczy, ze względu na drugą osobę. W dużej mierze od nas samych zależy, czy będziemy szczęśliwi w małżeństwie, czy też z czasem stworzymy sobie piekło na ziemi. Wzajemne fascynowanie się sobą i staranie się o względy drugiego w żadnym wypadku nie powinny się kończyć wraz z nałożeniem sobie obrączek. Bardzo lubię porównywać pogłębianie więzi małżeńskich do przechodzenia na coraz wyższe poziomy w grze komputerowej. Ileż wysiłku, czasu i determinacji jest w stanie włożyć gracz w to, aby pokonać kolejne wyzwania, jakie stawia przed nim gra, i przejść na kolejny poziom. Ile jest w stanie dokonać powtórzeń, ile przeczytać internetowych samouczków, z iloma innymi graczami dyskutować, aby osiągnąć swój cel. Zresztą podobnie jest w sytuacji, gdy bardzo zależy nam na zdobyciu konkretnej pracy czy awansie. Potrafimy zarywać noce, ucząc się, w weekendy uzupełniać wykształcenie, jeździć na szkolenia, pisać dziesiątki podań, poświęcać każdą chwilę i wszystkie siły na osiągnięcie celu. A w małżeństwie? Wielu małżonkom wydaje się, że dobre związki dzieją się same, a kiedy pojawiają się trudności, wychodzą z założenia, że jakoś to będzie. Niestety w ten sposób niczego nie da się zbudować.

Bardzo istotna jest także świadomość, że nasza siła — jako małżeństwa — zależy od naszych priorytetów i od tego, czy żyjemy według własnego pomysłu, czy według zamysłu Pana Boga. Nie wszystko służy naszemu dobru, nawet jeśli świat woła, że powinniśmy tego pragnąć i że jesteśmy tego warci. Istnieją konkretne zasady, Boże standardy, których musimy się trzymać, bo w przeciwnym razie narazimy się na poważne niebezpieczeństwo. W małżeństwie żyjącym

zgodnie z Bożymi prawami nie możemy robić wszystkiego, na co być może mielibyśmy ochotę. Każda podjęta przez nas decyzja wpływa na nasz związek, rodzinę, społeczeństwo, a w ostatecznym rozrachunku także na świat i przyszłe pokolenia. Wybierając wbrew Bożemu porządkowi, sami decydujemy się na zerwanie więzi z Bogiem, a nasze decyzje odwracają się niejednokrotnie przeciwko nam. A często potrafimy jeszcze wtedy wołać: „Boże, gdzie byłeś?”, jakby zupełnie nie rozumiejąc, że dokonując szkodliwych wyborów dotyczących na przykład zdrowia lub decydując się na pracę, która utrudnia lub uniemożliwia wypełnianie podstawowych obowiązków wynikających z naszego powołania jako małżonków czy rodziców, naraziliśmy się na poważne kłopoty. Pan Bóg naprawdę pragnie naszego szczęścia i doskonale zna naszą naturę, dlatego warto postępować zgodnie z tym, co w Jego oczach jest dobre. Naszym zadaniem jest iść za Nim, troszczyć się o tych, których nam powierzył, przyjmować Jego łaskę i prosić o nią dla innych.

Boża łaska. Nasz Ojciec w niebie pragnie ją w obfitości wylewać na nas każdego dnia — przez swoje sakramenty, swoje słowo, swoje opatrnościowe działanie. Chce nas prowadzić, wskazywać nam drogę, towarzyszyć nam i zapewniać wszystko, czego potrzebujemy. Nigdy jednak nie uczyni w naszym życiu niczego na siłę. Zawsze będzie szanował naszą wolną wolę. Jeśli nie będziemy chcieli trzymać się Jego i razem z Nim toczyć tej walki, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko usunąć się na bok i czekać, aż zaprosimy Go do swojego życia.